

# ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Kwietnia.

Nr 17.

Roku 1857.

## POSŁUSZEŃSTWO.

Opowiadanie

przez

Józefa Korzeniowskiego.

(Dokończenie.)

— „Ale będąc w położeniu siostry“ — dodałem z uśmiechem — „nigdybyś pani nie postąpiła tak, jak ona.“

— „Nigdy, za nic“ — rzekła Różia czerwieniąc się. — „Ale widzi pan, i tu jest różnica, która mówi na stronę Emilki. Nasze charaktery zupełnie odmiennie. Emilka miękka, słaba, trwożliwa. Dałaby się była zastraszyć rozkazem i gniewem ojca, poszłaby była za tego pana, który się jej mimo jej woli narzucał, byłaby nieszczęśliwą całe życie, a ojciec widząc to, i mając to przekonanie że złamał pokój i zniszczył szczęście swego dziecka, któremu tylko dobrego życzył, i które usłuchało jego głosu, cierpiałby zapewne więcej, niż teraz cierpi. Ja mam więcej hartu i nie dam się ugiąć, abym poddała szyję w jarzmo, którego znieść nie mogę. Jeżeli mi ojciec nie pozwoli być żoną tego, którego kocham, nie będę niczyją, a tembardziej tego nieznośnego p. Zenona, który od niejakiemu czasu znowu zaczął nas odwiedzać, i zagraża tym samym ciosem mnie, jakiego siostra moja nieszczęśliwą ucieczką swą z domu uniknęła. Widać, że on położył sobie to za zadanie swego życia, abyśmy obie z jego przyczyny były nieszczęśliwe. Dziwna rzecz, co w nim ojciec nasz widzi, i dlaczego chce koniecznie zachceniu jego czy zamaskowanemu łakomstwu, dzieci swe poświęcić.“

Tu Różia umilkła, a po chwili podnosząc główkę i patrząc mi jakoś serdecznie w oczy, dodała:

— „Nie wiem doprawdy, dlaczego ja tak otwarcie i śmiało wszystko to panu mówię.“

— „Może dlatego“ — rzekłem wyciągając do niej rękę — „że znam p. Karola, że go

szacuję i mocno mu życzę, aby zawsze godnym był takiego serca, jakie sobie zjednał.“

Różia ścisnęła moją rękę, łza zakreśliła się w jej oku i rzekła:

— „Nie widziałam go ze trzy miesiące. Ojciec domyślił się widać, co się w sercu mojem dzieje, i choć niedawno był chory, choć wie, żeby mu nikt szczerzej i umiejętniej nie poradził, posłał po innego lekarza. Byłam obecną gdy rozkaz ten wydawał; z jego wejrzenia domyśliłam się, dlaczego powierzał się ręką, którym nie ufam; ośmieliłam się zrobić uwagę; odpowiedział mi, że wie co robi, że jego obowiązkiem jest myśleć o mnie, a nie moim rozrządzać nim. Potem spojrzawszy na mnie surowo, dodał: wolę cierpieć ciałem, jak duszą. Mam już dość z waszej łaski. I odtąd co trzy, co cztery dni widuję p. Zenona, a o p. Karolu słyszę tylko wtedy, gdy marszałek jest tu, lub my u nich. Los mój wkrótce się rozstrzygnie. Jeżeli pan się o tem dowiesz — dodała, podając mi obie rączki — pożałuj mnie — bo los mój nie może być takim, jak mi się marzyło i śniło wtedy, gdy postać mojego dobrego Karola stała przedemną, a nie wiedziałam jeszcze nawet, że go kocham.“

Na tem się rozmowa nasza skończyła. Nie mogłem zapomnieć wyrazu twarzy i głosu tej panienki, która odpowiedziała wyobrażeniu jakie o niej miałem, i której los zainteresował mnie więcej, niż to wyrazić mogę. Ucieszyłem się niezmiernie, powróciwszy do domu z marszałkiem, że zastał tam p. Karola. Mogłem mu wynurzyć te wszystkie uczucia, jakie mnie przeniknęły, a nie tając przed nim niebezpieczeństwa i smutku jaki mu zagraża, mogłem także z głębokim przekonaniem pocieszać i umacniać zacnego młodzieńca tem, że serce takie nie zawiedzie go nigdy, że byle sam umiał być wytrwałym i cierpliwym, nie dozna pewnie zawodu, i czy za rok czy za dziesięć lat, znajdzie taką samą miłość, taką samą gotowość oddania mu życia i ożłocenia wszystkich jego momentów.

W parę tygodni potem przyjechałem przed wieczorem do p. Jana, z tym zamiarem, żeby

tam przemocować, przebyć jeszcze następny cały dzień i potem poruczywszy opiece boskiej śliczną Rózię, którąm jak własną córkę pokochał, pożegnać się z niemi na długo, a może i na zawsze. Na dziedzińcu zastałem piękny powóz, który strasznie trącił konkurentem, tak był nowy, tak pretensjonalnie rozłożony. Błyszczał on brązami i uprzężą ślicznych czterech koni i zdawało się iż w guziku, kółku i blaszce była petla, na którą serce panny ułowić się miało. W rzeczy samej byłto powóz p. Zenona, który był tu na obiedzie, i wkrótce miał odjechać.

Gdym wszedł do bawialnego pokoju, zastałem Rózię samą. Siedziała biedna zamysłona i miała oczy zapłakane. Gdy mnie postrzegła, zbliżyła się, podała mi rączkę i rzekła:

— „O! dobrze, żeś pan przyjechał. Zdaje mi się że chwila stanowcza zbliżyła się. Nie odstępuj mnie pan, przy panu będę mocniejsza.“

Nie miałem czasu odpowiedzieć i zapytać co się zrobiło. Hurkot powozu dał znać, że p. Zenon pojechał, a w tymczasem drzwi się otworzyły, i wszedł p. Jan trzymając w ręku zgrabne, safianowe pudełko, widać z jakimiś precyozami. Po przywitaniu się ze mną, stary otworzył pudełko, w którym były cztery sznurki ślicznych pereł ze spięciem ozdobionem ametystem i brylantami, i oddając je córce rzekł:

— „Masz tu Rózin prezent.“

— „Ktoś ofiaruje mi łyzy, wątpię ojczuniu! żeby to było od ciebie. A jeżeli nie od ciebie, przyjąć nie mogę“ — rzekła Rózia, i zamknawszy pudełeczko, postawiła je na komodzie.

Stary zmarszczył się i rzekł:

— „Masz ten podarunek od takiego, od którego wkrótce będziesz mogła przyjąć każdy dar, jaki ci ofiarować zechce.“

— „Wiesz dobrze mój drogi ojczu“ — mówiła Rózia, której twarz zbladła jak ściana — „że prócz ciebie, jeden jest tylko taki człowiek na świecie, od którego bym każdy dar chętnie przyjęła. Ale ten nie jest w stanie robić tak kosztownych podarunków. Ponieważ więc to ani od ciebie, ani od niego... nieprzyjmuję.“

— „O tańtym zapomnij“ — odpowiedział p. Jan tym tonem stanowczym, od którego już nie było apelacji. — „A podarunek ten przyjąć pozwalam ci i rozkazuję, bo pochodzi od p. Zenona, który za miesiąc będzie twoim mężem.“

— „Mężem moim p. Zenon“ — odpowiedziała Rózia — „nie będzie ani za miesiąc, ani nigdy. Nikt na świecie zmusić mnie nie zdoła, abym wymówiła przed ołtarzem kłamstwo, którym się brzydę. Ty ojczu chcesz szczęścia mojego, i dla tego każesz. Ja czuję to, że się mylisz, i dla tego postuszną ci być nie mogę.“

— „Więc i ty postąpisz tak jak tamta“ — zawołał p. Jan, i powstał groźny i przeszywający wzrokiem nieulekłą dziewczynę.

— „O tem nie myśl, mój drogi ojczu“ — odpowiedziała Rózia. — „Odgadłeś tajemnicę mego serca, i dlatego zapewne chcesz mnie wiecznie przegrodzić od człowieka, któremu ukochała. Bądź spokojnym ojczu drogi! środek ten niepotrzebny. P. Karola kocham, kocham go całą duszą jak na to zasługuje. Ale przeciwko woli twojej nie pójdę. Jeżeli nie pozwolisz być jego żoną, jeżeli nam niepobłogosławisz, przysięgam ci na cień mojej matki, że nią nie będę. Ale też nie będę niczyją, a tem bardziej tego człowieka, który chce tylko nie wiem dlaczego być twoim zięciem, i któremu wszystko to jedno, czy Emilia, czy Rozalia, czy Chweśka czy Maryśka. Oddaj mu swoją szkatułkę, a w niej mój posąg, a bądź pewnym mój ojczu, że przestanie na tem, i więcej niczego domagać się nie będzie.“

— „Sądzisz go niesprawiedliwie“ — odpowiedział p. Jan łagodniej. — „To człowiek dobry i uczciwy, który potrafi ocenić twoje poświęcenie, i zrobi cię pewnie o tyle szczęśliwą, o ile tylko kobieta nią być może, jeżeli sama nie psuje tego, co jej Bóg daje. Nie jest on już tak młody, nie jest tak gładki, jak byś może chciała, nie nadskakuje i nie wzdycha, ale w sercu jego jest przywiązanie, w obejściu delikatność, w każdym kroku prawość i uczciwość. Maszże mnie za człowieka nieznanego się na ludziach, nie umiającego z twarzy niczyjey zdjąć maski, która mnie kto oszukać pragnie, że sądzisz, iżbym się dał zwieść pozorami i w ręce niegodne oddawał ciebie, któraś była zawsze zrenicą w moim oku, którąm może więcej kochał niż wszystko to na ziemi, com kochać był powinien? Róziu! maszże mnie za tak złego ojca, że sądzisz, iżbym cię chciał ślepo poświęcić mojemu widzi mi się, iżbym potem obojętnie dlatego, żeś sobie dogodził, patrzył na twoje łyzy, na twój smutek, ja, który już stoję nad grobem, który pójdę wkrótce zdać sprawę z mojego życia, który mam już i tak stać w obec tej, co mnie

tam czeka i może obwinia. Ryłabyś niewdzięczną, gdybyś tak myślała. I nie myśl tak moja droga jedynaczko! Uczyni zadość mojej woli, która się gruntuje na mojej dla ciebie miłości, uciesz mię na stare lata moje postępszeństwem, które Bóg błogosławi, i zatrzyj w sercu mem gorycz i ból, jaki mi nieposłuszeństwo tamtej dało. Moja najmilsza Róziu! jeżeli chcesz, abym spokojny o ciebie umierał, zrób o co cię proszę, a nie ma ofiary jakiejbym nawzajem dla ciebie zrobił.“

Rózia siedziała z wyciężonym na ojca wzrokiem, z otwartymi przez pół ustami, dłońmi ścisnęła skronie, w których zapewne pulsa biły ostatkiem życia, a z ocz jej płynęły łzy bez jej wiedzy i woli. Gdy p. Jan umilkł, posiedziała jeszcze chwilę, potem potarłszy palcami czoło, powstała nagle i rzekła z postanowieniem:

— „Dobrze ojczy! dobrze. Przywołaj Emilkę i jej męża, przebacz im i pobłogosław, a... a pójdę. — Inaczej za nic. To moje ostatnie słowo.“

P. Jan podniósł się w całej swej wysokości, wyprężył się, jakby miał paść trupem, niespodziewając się warunku, który łamał i kruszył jego postanowienie. Po niejakiem czasie jednak, opuścił ręce, spojrzął z miłością na swe ulubione i poświęcające się dziecko; wielkość ofiary tknęła widać jego żelazne serce, i wyciągając do niej ręce, rzekł głosem drżącym, który jakby płacz wewnętrzny przeżywał.

— „I nie cofniesz swojego słowa?“

— „Nie cofnę. Tak niech mi Bóg dopomóż“ — rzekła Rózia z mocą, na którą w głębi duszy zadrzałem.

Wtedy p. Jan przyciągnął ją do siebie, przycisnął do piersi, zylastą ręką swą obejmował jej główkę, tulił do siebie, całował jej czoło, jej twarz i wręście zawołał:

— „Błogosławie cię dziecko moje; zrobiłaś to postępszeństwem, czegoby nikt żadną siłą nie dokazał. Napisz do nich, niech tu jutro przyjadą, i niech mi dzieci swe przywiozą.“

Rózia upadła do nóg jego, on ją podniósł jeszcze, i jakby konwulsyjnie ścisnął, całował i żegnał, potem widząc łzy w moich oczach podał mi ręce, ścisnął moje dłonie i szybko wyszedł.

Wtedy Rózia otarła oczy, przystąpiła do mnie blada i drżąca i rzekła:

— „Zginęłam, ale to nie! Moje życie i moje szczęście mniej warte, niż życie i szczę-

ście tych, co już od tylu lat boleją. Pojeżdż pan do Karola, powiedz mu coś widział; niechaj zniesie cios ten jak mężczyzna, i oceńni mój postępek jak człowiek szlachetny i wyższy.“

To powiedziawszy wyszła. Tego wieczora nie widziałem już ani ojca, ani córki.

Dom p. Jana zbudowany tak, że dwa jego skrzydła, mieszczące po kilka pokoi, wchodziły w ogród. W jednym skrzydle były pokoi gościnne, a w drugim przeciwległym był pokój panien, obecnie zajęty tylko przez Rózię. Okna tego pokoju, gdzie mnie na noc ulokowano, były naprzeciwko jej okien. Już było po jedenastej, kiedy otworzyłem swoje okno, i rozmyślając o tem wszystkim, com widział i słyszał, orzeźwiał się nocnym chłodem, i patrzył na niezmierny błękit zasiany gwiazdami. Okna Rózi były oświetlone. Patrzyłem z zajęciem czy jej nie dojrzę, i myślałem, co też teraz zajmuje myśl i serce tej szlachetnej i starszej duszy nad swój wiek kobiety, która najdroższe uczucia serca, wszystkie nadzieje pięknego i długiego życia na ołtarzu rodzinnym złożyła. Wtedy posłyszałem na ścieżce ogrodowej kroki zbliżającego się człowieka, i wkrótce postrzegłem wysoką postać p. Jana. Szedł on z wolna i stawał, a wzrok jego był ciągle zwrócony ku oświetlonej oknu córki. Po niejakiem czasie zbliżył się tak, że mógł widzieć, co się wewnątrz dzieje. W tem miejscu stał długo, patrzył ciągle, i potem cofnąwszy się usiadł na schodkach, które z ogrodu prowadziły do sali, zakrył twarz rękami, i zdawało mi się że płakał. Widok ten przeniknął mi do głębi serca. Wyszedłem do ogrodu, zbliżyłem się do rozbolełego starca, i rzekłem:

— „Panie Janie! po cóż ta boleść, gdy stało się zadość twjej woli.“

Wtedy on powstał, wziął mię za rękę i do jej okna przyprowadził. Przy dziewczem łóżeczku swem Rózia kłęzała. Białe szlafroczyki okrywał jej kształtną kibić, ciemne włosy w pół rozplecione spadały na ramiona. Trzymała ona w ręku żelazny krzyż z wyobrażeniem Chrystusa, i wpatrzywszy się z przenikaniem w twarz Zbawiciela, który odbolał wszystkie całej ludzkości boleści, błagała o moc do spełnienia ciężkiej ofiary.

— „Patrz pan! gotuje się na śmierć“ — rzekł p. Jan z jękiem, który mię przeraził i spiesznie odszedł. Popatrzyłem jeszcze przez chwilę na biedne dziecko, godne lepszego losu, i wróciłem do siebie. W pół godziny

potem zgasło światło w pokoju Rózi, na niebie było jasno i świetnie, na ziemi cicho i spokojnie, w sercach tylko ludzkich były się namiętności, mącąc i psując to, co Bóg tak pięknie uszykował, tak jasno oświecił, tak mądrze dla szczęścia ludzkiego i pokoju urządził.

Nazajutrz o dziesiątej rano przyjechała Emilka z mężem i dwójgim ślicznych dzieci. Sceny tej pojednania i przebaczenia opisywać nie będę. Jestto jedna z tych pieśni, którą każdy słuchacz tylko w sercu swem dośpiewać może. P. Jan przyjął dzieci tak jakby tylko z drogi wracali, jakby nigdy nie zaszło. Ścisnął Emilkę, podawał rękę p. Tytusowi, karesował i nosił starszego wnuczka, całował i zęgnął młodego. Ale najwięcej zajęty był Rózią, która z początku ożywiła się tym widokiem szczęścia siostry, i zapomniawszy o swoim losie. Pieścił ją ojciec, tulił do piersi, kładł na jej rękę starszego siostrzeńca, żartując że nie udźwignie tak zdrowego i tłustego chłopaka. I Rózia i ja poglądaliśmy po sobie, nie mogąc jakoś wytłumaczyć tej zmiany, jakąśmy w całej naturze p. Jana widzieli. Wziął mu się z kądcis dobry humor, a nawet znalazł się żarcik, który od dawna, jak mi mówiono, nie powstał na jego ustach. W tem wszystkim uważałem dwie rzeczy: że im weselszym okazywał się ojciec, tym bardziej Rózia smutniała i bladeła, a druga, że p. Jan mimo tej niezwykłej mu żywości i wesołości, okazywał się chwilami jakimś niespokojnym, często zaglądał do okna, i zdawał się przysłuchiwać czy kto nie jedzie. Oboje z Rózią myśleliśmy widać jedno; za każdym bowiem zbliżeniem się jego do okna mnie robiło się niezmiernie przykro, a ona zdawała się trętwieć i twarz jej śmiertelną okrywała się bladeścią. Narazie dał się słyszeć hurkot, powóz szybko przebiegł poprzód oknami, i wprzód nim zdołaliśmy dojrzeć kto przyjechał, drzwi się otwały, i wszedł p. Karol. Rózia krzyknęła, wszyscy stanęliśmy zadziwieni i w milczeniu, a stary podawszy rękę lekarzowi, rzekł:

— „Chodź tu mój zięciu! oto twoja żona, mam nadzieję, że będziesz wart takiego serca, jakie ci daję.

Gdyśmy wszyscy okazali znaki serdecznej radości, gdy Rózia upadła jak długa do nóg ojca, całując w uniesieniu stopy jego, a p. Karol wyszedłszy z pierwszego zdumienia ukląkł przy niej i kolana jego całował, p. Jan podniósł oboje, przycisnął do siebie i do-

dał: — „Róziu moja! uczciłaś wczoraj wolę ojca posłuszeństwem, i Bóg nie dopuścił, abym złamał to serce, które się tak odważnie poświęcić umiało. Nauczyłaś mię, jak się przezwycięzać, a ten Chrystus, w którego oblicze wpatrywałaś się wczoraj, gotując się na śmierć, natchnął mię inaczej niż chciałem, i nauczył starego jego ojcowskiej powinności względem dziecka, które wypełniło swoje. Maszże teraz moje błogosławieństwo za tę chwilę rozkoszną, jakiej doznaję; masz je i ty, której winę siostra twoja zmyła. Nacieszcież się z sobą, i w modlitwach waszych proście Boga, aby mi pozwolił jeszcze lat kilka patrzeć na wasze szczęście.

Gdy obie pary ukłękły przed wzruszonym i wyprostowanym starcem, a ja, przypadkowo świadek tej sceny płakałem zdaleka, p. Jan rzekł po chwili:

— „No! dosyć tego na dziś! Jutro moje dzieci! pojedziemy wszyscy do grobu matki waszej, gdzie duch jej czeka zapewne z błogosławieństwem dla was, a da Bóg z przebaczeniem dla mnie.“

---

## MISTRZ NIEZNANY.

---

Podczas swojego pobytu w Madrycie w roku 1628, zwykł był Rubens z kilką celniejszych uczniami podejmować dalekie wycieczki w okolicę.

W jednej z takich przechadzek znalazł się w pobliżu klasztoru, zamieszkanego przez mnichów pewnej nader surowej reguły. Już to dla wypoczynku po kilkugodzinnej podróży, już przez zwykłą ciekawość artysty, wszedł Rubens do środka kaplicy klasztornej, i jął rozpatrywać się w malowidłach po ścianach i sklepieniu. Nagle, wlepiwszy oko w pewien wielki obraz u chóru, wydał głośny wykrzyk podziwu i zachwycenia.

Wśród wielu lichych malowideł, jaśniał tam precudny wizerunek mnicha w ostatnich chwilach życia, świadczący o nadzwyczajnym talencie swego twórcy. Każdy odcień farby, każdy rys, każdy pociąg podziła nosił piękno wyższego jeniusza i prawdziwego natchnienia.

Nie posiadając się z podziwu, przywołał Rubens swoich uczniów, i wskazał przedmiot swego zachwycenia. Wszyscy wydali jeden wykrzyk uniesienia.

— „Lecz ktoż na Boga utworzył to arcydzieło?“ — zawołał Van Dyk, najulubieńszy uczeń Rubensa.

— „Patrzcie, stało pod niem jakieś imię, lecz ktoś zatarł je z umysłu“ — dorzucił Van Thulden.

Rubens zażądał pomóc niezwłocznie z przeorem klasztoru. Po kilku chwilach przybył do kaplicy stary poważny mnich, a Rubens, nie dając mu nawet czasu wymówić zwyczajnego pozdrowienia, zapytał zaraz natarczywie kto malował obraz podziwiany.

— „Nie masz go już na świecie“ — odparł mnich, pochylając głowę na piersi.

— „Jakto, nie żyje?!“ — zawołał Rubens. — „Umarł, i umarł może nieznanym! I nie byłóż nikogo, coby choć po śmierci wyjawił światu jego nazwisko, nazwisko które mogło dobić się nieśmiertelności, owszem przyćmić mnie samego, a jam przecie“ — dodał z szlachetną dumą — „jam, ojcze, Paweł Rubens!“

Na wymienienie tego nazwiska zadrzał stary mnich, żywy rumieniec rozlał się po jego bladym licu, a z oczu uderzył blask niezwyčajny. Całe to jednak wzruszenie trwało krótką tylko chwilę; wnet z ciężkim westchnieniem spuścił zakonnik głowę w pokorze ku ziemi, a wzniesione w zachwyceniu ręce skrzyżował pobożnie na piersiach.

— „Nie masz go już na świecie“ — powtórzył po krótkim milczeniu stłumionym głosem.

— „Lecz jakże się nazywał, czcigodny ojcze? jego imię? wynień mi jego imię, abym je wyjawiał światu, abym je okrył sławą, której zbywało mu za życia.“

I Rubens sam i jego trzech uczniowie, czyli raczej trzech późniejsi rywale, otoczyli starego mnicha, prosząc i zaklinając, aby wyjawiał imię nieznanego artysty.

Zakonnik zadrzał, zimny pot sączył mu się z czoła i pooranych wiekiem policzków, usta zacisnęły się konwulsyjnie, jakgdyby lekając się, aby mimowoli nie wyjawiały tajemnicy, której się tak usilnie domagano.

— „Jego imię?! jego imię?!“ — powtarzał razporaz Rubens.

— „Jego imię?! jego imię?!“ — krzyczał coraz natarczywiej chór trzech młodzieńczych uczniów.

Zakonnik zrobił uroczyste poruszenie ręką.

— „Słuchajcie!“ — rzekł. — „Nie zrozumieście dobrze słów moich. Powiedziałem: nie masz już na świecie malarza tego obrazu, lecz tem nie wyrzekłem bynajmniej, że nie żyje.“

— „Więc żyje?!“ — krzyknęli w jednej chwili Rubens i wszyscy trzej uczniowie. — „O wymieńże, wielbny ojcze, coprędzej jego nazwisko, chcemy go poznać i uwielbiać.“

— „On wyrzekł się już dawno świata“ — ciągnął z wolna przeor. — „Wstąpił do klasztoru, i przywdział suknię zakonnica.“

— „Więc on mnichem, wielbny ojcze?“ — zawołał Rubens. — „O powiedzże w którym przebywa klasztorze, bo musi go opuścić, bo napiętnowany znamieniem geniuszu nie ma prawa odrywać się od świata i zamykać się w samotności. Bóg przykazał mu wzniosłe posłannictwo na ziemi, a jego powinnością iść za wolą wszechmocnego choćby wbrew własnej skłonności. Powiedz mi tylko nazwę klasztoru, w którym się ukrywa, ja go wydobędę z ukrycia, i wskażę mu drogę sławy. Opierałby mi się na próżno. Udałbym się do Ojca św., a za jego łaską i wpływem zmusiłbym niewdzięcznego ulubieńca sztuki do wytrwania na drodze swojego wspaniałego zawodu.“

— „Daremuie! Nie mogę ci panie wyjawić ani imienia malarza ani miejsca jego dzisiejszego schronienia“ — odpowiedział mnich spokojnym i stanowczym głosem.

— „Więc ucieknę się do łaski Papieża a on cię zmusi, ojcze!“ — zagroził mistrz rozniewany.

— „Posłuchajcie mię, posłuchajcie na miłość boską“ — przemówił mnich uroczystym głosem. — „Czyż myślicie że człowiek, który postanowił wyrzec się na wieki świata i chwały, uczynił to na pierwszy popęd, bez wytrawnego namysłu i krwawej walki z sobą samym? Nie dorozumiewaciez się że musiał on naprzód ciężkie i bolesne przechodzić próby, gorzkich i okrutnych doznawać zawodów, zanim się przekonał jak próżnym i poziomem jest wszystko na świecie? Zostawciez go w spokoju, pozwólcie mu umrzeć w zaciszy klasztornej, nie zakłuczajcie ostatnich chwil jego skolatanego żywota. Zresztą wszystkie wasze usiłowania byłyby daremne, najłudniejsze pokusy rozbiłyby się o nieugiętą wolę starca, związanego ślubem dożgonnym. Bóg który raczył powołać go do siebie“ — dodał, robiąc znak krzyża świętego. — „Bóg ten nie odepchnie go od swojej służby.“

— „Ależ, wielbny ojcze“ — przerwał Rubens. — „Człowiek ten pozbawia się nieśmiertelności swoim uporem.“

— „A czemuż taka nieśmiertelność wobec wieczności, mój synu?“ — rzekł poważnie zakonnik.

I chwilkę milczał, potem zaciągnął kaptur na głowę, i pożegnawszy ukłonem gości, opuścił spiesznym krokiem kaplicę.

Niezadługo oddalił się i wielki malarz z swoimi uczniami. Wszyscy wracali do Madrytu w głębokim milczeniu, rozmyślając nad dziwnym postępowaniem mnicha, z którego różne dawały się wywodzić domysły.

Tymczasem przeor powrócił do swojej celi, i upadłszy na kolana, modlił się długo i gorąco.

Po niejakiś czasie powstał, zebrał pędzle, palety i farby, rozrzucone po podłodze, i wyrzucił je w rzekę, która płynęła popod samymi oknami klasztoru.

Z smutnym uśmiechem przyglądał się chwilkę, jak modra fala jeden przedmiot po drugim anosiła zprzed oczu, a potem jeszcze raz upadłszy na kolana, znowu długo i gorąco modlił się przed swoim krzyżem drewnianym.

---

## KIJOW.

---

Jestto jedno z najpiękniejszych i najoryginalniejszych miast w Europie. Położone w zachwycającej okolicy pomiędzy łańcuchem gór nieprzejrzanym stępem, przerzniętym prądem Dniepru, uderza ono na pierwsze wejście swoją osobliwą powierzchnością. Na pozór nie jest ono jednym tylko miastem ale połączeniem kilku miast do siebie zbliżonych, zbiorowiskiem domów, porozrzucanych w największym nieładzie po wzgórzach i dolinie, po nagich stokach i parowach. Każda osobna część miasta podobieństwem budowy lub położenia przypomina jakieś inne sławne miasto europejskie.

W głębokiej dolinie, wybiegającej od stóp góry ku sienie wstędze Dniepru, rozpiera się takzwany niższy Kijow, *Podol*, jaśniejący wieńcem kopuł i wież, cerkwi i klasztorów, obfitujący w ogrody, place publiczne i szerokie rynie nad Dnieprem, przypominający swoją amfiteatralną budową fizyognomię Neapolu i Carogrodu.

Ponad tą częścią miasta, na szczytach nagich wzgórz, wznosi się *Stary Kijow*, bogaty w swoje sławne dachy złociste, w okazałe cerkwie bizantyńskiego stylu i wspaniałe gmachy nowoczesnej struktury, niemniej też w świeżo pozakładane ogrody i place pu-

bliczne — podobny poniekąd do Edynburga i Nowych Aten.

Naprzeciw wzgórz Starego Kijowa widać trzecią część miasta *Kijow Peczerski*, nazwany tak od licznych pieczar i katakomb. Jeż się tu zdala żółte mury cytadeli, zbudowanej w normandzko-gotyckim stylu, okolonej grubemi murami i szeregiem wieżyc okrągłych, których średniowieczna powierzchność w dziwną wpada sprzeczność z licznymi cerkwiemi i budynkami nowoczesnego stylu, podczas kiedy rozrzucone u przodu wille, ogrody i gaje prześliczne całej tej części miasta nadają włoski niejako charakter.

Pomiędzy wyżynami *Starego Kijowa* a głęboką równiną *Podolu* ciągnie się czwarta i ostatnia część miasta, *Kreszczatek*, nazwana tak od miejsca przy rzece, na którym stanął pierwszy krzyż, i gdzie Włodzimierz przyjmował chrzest święty. Mimo swojej nazwy nie odznacza się ona szczególniejszą pobożną fizyognomią, owszem zamieszкана przez samą arystokracją, pełna prześlicznych budynków, wil, ogrodów, gajów i kaskad, wygląda raczej jak zakład kąpielowy. Podobieństwo to podnosi jeszcze wielka liczba kawiarni, cukierń, sklepów wystawnych i ciągle uwijających się po mieście ekwipażów.

Przy tak powabnej powierzchni wszystkich szczególnych części miasta, można sobie wyobrazić jak piękny widok przedstawia Kijow w całości.

Najwięcej nęca wzrok owe sławne srebrzyste i złociste kopuły, lśnące po wszystkich częściach miasta. Liczba ich jest nie do uwierzenia znaczna. Ściśnięte w gęste grupy, wyglądają zdala nito świecące w powietrzu gaje, a nieraz sześć, ośm do dwanaście takich kopuł wznosi się nad jedną cerkwią. Przedstawiają one tem powabniejszy i oryginalniejszy widok, ile że nie leżą w równej obok siebie wysokości, lecz owszem jedna grupa wznosi się ponad drugą, bo szczyty cerkwi zbudowanych w dolinie, dosięgają zaledwie stóp cerkwi, wzniesionych na wzgórzach.

Każda zresztą cerkiew z swojemi kopułami wygląda jak drzewko Bożego narodzenia, przyozdobione złotemi i srebrnymi owocami. Ztąd też i całe miasto ma w każdej porze czasu pewną wesołą i niejako festynną powierzchność. Wszystko przypomina w niem obyczaj wschodu. Te kopuły złociste, te dzwonnice w kształcie szczytów minaretowych, te wesołe domy z płaskimi dachami, balkonami, słupami i zielonemi żaluzjami — wszystko to nosi wybitną cechę orientalną. Do

tego nie są domy uszykowane w ulice, ale rozrzucone bez porządku pomiędzy ogrody i gaje. A to jest właśnie najpiękniejszą osobliwością Kijowa. Dziwny bo urok ma miasto, gdzie natura tak wolnem i swobodnem oddycha życiem, gdzie obok zwyczajnych przyjemności miejskich na zawołanie stoja wszystkie rozkosze wiejskiego ustronia. Nie masz tu ani wąskich, ciasnych ulic, ani ciemnych i brudnych zaułków, zbrodnia nie znajdzie tu kryjówki, nędza ludzka nie potrafi pozostać w ukryciu jak po wszystkich innych stolicach świata.

Pomiędzy wspanialszemi gmachami Kijowa odznacza się kilka budynków rządowych, wzniesionych na wzgórzach. Najpiękniejszą niezawodnie zaletą miasta jest schludność wzorowa. Wszystkie domy bywają co roku bielone lub malowane z wierzchu, a wszystkie poblądle kopuły otrzymują nową pozłotę. Miasto zamiatają areztanci bezustannie we wszystkich kierunkach, a pomiędzy wąskimi a gładkimi kamieniami trotoaru, nie dojrzałby nikt ani zdźbła słomy lub świeżego listka trawki.

Na wszystkich placach publicznych trykskąją fontany. Bogatsze i wystawniejsze sklepy noszą po większej części francuzkie napisy. Co krok można obaczyć na drzwiach tego lub owego magazynu złocisty napis: *de Paris, de Vienne, de Petersbourg*. Francuzkich fryzyerów i krawców posiada Kijow bez liku, niemniej też bogatym jest w zwyczajne magazyny modniarek damskich. Prawdziwy też zaprzag rosyjski można dopiero w Kijowie ujrzeć w całej wspaniałości. Niepoliczyłby wszystkich cztero-, sześć- i ośmiokonnych ekwipażów, uwijających się po mieście przed wieczorem, a powożonych przez zwoszczyków w narodowym stroju. W ogóle tchnie wszystko tu bogactwem i elegancją, a we wszystkich częściach miasta panuje nieprzerwanie ruch i życie.

Diabeł w Szwecyi. Jak nagle pojawienie się matki rodu, tak zwanej „białej damy“, zwiastuje jakąś kłeskę królewskiemu domowi pruskiemu, tak znowu ukazanie się diabła w sztokholmskiej bibliotece nadwornej zapowiada według wyobrażenia ludu wielkie nieszczęście dla kraju i samego monarchy. Złowrogi ten gość pojawia się z własnej winy Szwecyi. W trzydziestoletniej wojnie — utrzymuje podanie gminne — uniosły wojska szweckie z pewnego klasztoru czeskiego jedno z najniebezpieczniejszych dzieł czaroksiążekich, takzwany kodex diabelski, przechowywany podziśdzień w królewskiej bibliotece sztokholmskiej. Zawiera on wierny wizerunek władcy

piekiel z mnóstwem rozmaitych zaklęć i formulek czarodziejskich w języku łacińskim; a skoro tylko jakie srogi nieszczęście ma nawidzieć kraj lub rodzinę królewską, przyciąga natychmiast diabła do siebie. O północy widać wtedy światło w bibliotece i słychać jak diabeł odmyka i zamyka ciężką oprawę książki, przyczem częstokroć ochryplym a przerażającym wybucha śmiechem. Naocznie nie widział go jeszcze nikt z żyjących prócz jednego z stróżów biblioteki, który zasnąwszy we dnie wśród książek, nie ocknął się aż o północy, i przejęty śmiertelnym strachem, ujrzał nagle całą bibliotekę oświeconą płomykami niebieskawemi. Przy głównym stole siedziała jakaś osoba w szkarłatnym płaszczu z capią rudą bródką, polyskującą w dziwny sposób jak siarka wśród ciemności. Pochylony nad kodexem diabelskim, przewracał nocny uczony kartkę po kartce, i zaśmiał się od czasu do czasu, że aż księgi zadrgały na półkach. Naraz powstał z miejsca, zamykając księgę z tak nieprzyzwoitym łoskotem, że stróż dotknięty w uczuciu swojego obowiązku, nie mógł się dłużej powstrzymać. „Jak śmiesz zachowywać się tak nieprzyzwoicie w królewskiej bibliotece? — zawołał groźnym głosem na nieznanego. — „Kto jesteś? co tu robisz?“ — Uczony w czerwonym płaszczu wlepił w niego po tej przemowie swoje okropnie iskrzące oczy, i parsknął tak szatańskim śmiechem, że biedny stróż otrętwiał z przestachu, a gdy nadto nieznamy wyciągnął ku niemu rękę, rosnącą w jego oczach w długość niesłychaną i zaopatrzoną u końca ostremi pazury, powalił się nieborak na ziemię, pozbawiony zmysłów. Nazajutrz król Gustaw III padł pod skrytobójczym ciosem, a nieszczęśliwy stróż dostał się do domu obłąkanych.

Niezwyciężone drzewo. Do najosobliwszych drzew Indyi należy takzwany krzew *papaya* (*pinus indicus*). Rośnie on wszędzie po dołach i górach, w miejscach suchych i wilgotnych, a nie masz siły na świecie, któraby przeszkoziła krzewieniu się jego konarów i gałęzi. Przebija on mury, rozmuła kamienie i cegły, i wyrządza wszędzie szkody niesłychane. A napróżno siłą ludzkie wytypić go w miejscu, gdzie się raz rozkorzenił. Pościanane gałęzie rozrastają w bujniejsze jeszcze konary, niszczone i wyrwane korzenie pozostawiają w ziemi zarody nowych rozmnożonych pokoleń. Dochodząc przytem niezwyčajnej wysokości, wychyla *papaya* nieraz swe zielone gałęzie ponad szczyty pałaców, kościołów i grobowców, a żadne z dzieł rąk ludzkich nie zdola się oprzeć naciskowi jej korzeni i gałęzi. Nieraz strzeli w powietrze bujnym konarem, z którego liści deszcz nie splukał jeszcze szczytków rozsadzonych cegieł lub kamieni. Niezwyciężona ani ogniem ani żelazem, nie ustąpi *papaya* z obranego raz miejsca przed najzawziętym nieprzyjacielem, a coraz bujniejszym rozkrzewianiem się na wszystkie strony zdaje się ustawicznie uragać próżnym zabiegom człowieka. Indyjanie czczą ją jako drzewo święte. W niem ma przebywać czasem jedno z głównych bóstw indyjskich, bóstwo zniszczenia. Przysięgając, bierze Indyjanin liść *papayi* w prawą rękę, i wzywa Boga, aby go za krzywoprzysięstwo taksamo zgniotł swoją potęgą, jak on zgnicie liść rośliny w swojej dłoni. Poczem rozdiera liść na dwoje, i zgniotłszy go w palcach, składa przysięgę.

Robota na kanwie lekarstwem duszy. Utrzymuje to znana autorka polska, pani Ewa Felińska, w swoich niedawno wyszłych pamiętnikach. Opisując srogi niepokój, jakim podczas pobytu w Sarato-

wie przejmował ją przez dłuższy czas brak wszelkich wiadomości od pozostałych w domu dzieci, mówi między innymi: — „Lubiłam bardzo kanwową robotę, ale w Saratowie odmawiałam sobie tej przyjemności przez oszczędność. Teraz pozwiliłam jej sobie jako lekarstwa, i zaraz doznałam skutku. Nie można sobie wystawić jak to lekarstwo na pozor nieznaczące, ma dziwnie uspakajającą siłę, bo nie pozwala myśli zboczyć ani na chwilę w inną stronę. Trzeba koniecznie rachować nici, dobierać kolorów i t. p. Od czasu jakem się wzięła do reboty, dusza pozbyła się gorączkowego stanu. Dziwne małżeństwo ducha i materii. Trochę włókna, trochę wełny, to lekarstwo na ból duszy.“

Sztuczne oczy. Od dawna już znany jest sposób wstawiania sztucznych oczu ludziom, dotkniętym jakimś przypadkiem nieszczęsnym. Temi czasy próbował pewien lekarz niemiecki użyć tegosamego sposobu u koni, oslepiłych na jedno lub obie oczy. Udało mu się to z jaknajpomyślniejszym skutkiem. Zaledwie znawca potrafiłby odróżnić podobne oko wstawione od naturalnego. Dzięki temu wynalazkowi, może teraz oslepiły na jedno oko koń paradować w najwspanialszym zaprzęgu, jeśli mu tylko na innych nie zbywa przymiotach. Do tego podobne oko sztuczne ochrania jamę postradanego oka od zaprószczenia, od natręctwa owadów i zimna, czem nie małą ulgę przynosi koniowi.

Najpiękniejsza ręka. W pewnym towarzystwie dwie piękne panie rozprawiły żarliwie o przymiotach pięknej ręki. Nie mogąc się także porozumieć w tym względzie co do swoich rąk własnych, przywołały pewnego mężczyznę do rozstrzygnięcia sporu. Sędzia popadł w kłopot, nie miał, bo też ujrzał się nagle w położeniu Parysa. Obie damy były ładne i młode, i obiedwie wyciągnęły ku niemu rączki tak białe, pulchne i drobne, że niepodobna było odmówić jednej albo drugiej pierwszeństwa. Chcąc nie chcąc musiał zakłopotany sędzia uciec się do fortelu. Wziął ręce obu dam w swoje dłonie, i wpatrując się w nie z wielką pilnością, ozwał się po krótkim wahaniu: „Przy najlepszych chęciach nie umiałbym wywiązać się z zadania. Wyrok w tak trudnej sprawie przechodzi siły moje. Pozostaje jednak inny środek niemylny. Zapytajcie panie ubogich, a oni rozstrzygną spór w najpewniejszy sposób, bo niezawodnie osądzą według zasady, że najhojniejsza dla cierpiących ręka jest zarazem ręką najpiękniejszą.“

Smutne następstwa palenia tytoniu. W Szkocji, w ojczyźnie sławnego przeciwnika tytoniu, króla Jakóba I, wyszła świeżo broszura pod napisem: *On the Use and Abuse of Tobacco*, potępiająca palenie tytoniu nie tylko ze względów sanitarnych, ekonomicznych i moralnych, ale nawet i politycznych. Autor stara się dowieść między innymi, iż dzisiejsza niemoc państwa otomańskiego wypłynęła jedynie z zbyt częstego używania tytoniu. „Po wypadkach ostatniej wojny nie podlega najmniejszej wątpliwości“ — powiada autor dosłownie — „iż Turcy nie poddając się w tak wysokim stopniu zgubnemu nałogowi palenia tytoniu, nie potrzebowałiby bynajmniej pomocy obcych narodów, i byłiby dziś tak silnymi jak za czasów Othmana, Orkana, Murada I i Bajazeta. Przyznali to wszyscy oficerowie angielscy

i francuzcy, że żołnierz turecki dorównywa we wszystkim wojownikowi innych cywilizowanych narodów europejskich. Tegosamego nie można powiedzieć o oficerach. Dzięki bezustannemu używaniu tytoniu sąto w przeważnej liczbie ludzie leniwi, gnuśni i jednym słowem zupełnie nieudolni. Podczas ostatniej azjatyckiej wyprawy Omera Baszy opisywali szeroko korespondenci angielscy z jaką odwagą i wytrwałością przebijali się proci żołnierze przez wszelkie próby i trudności, kiedy przeciwnie oficerowie hamowali postępy armii, przysiadając co krok na drodze, i paląc fajkę bez miary i przestanku.“ Nieprzeblągany przeciwnik tytoniu nie przebacza w swojej broszurze innym także narodom. Hiszpanie, Portugalczycy, Niemcy i Francuzi, wszyscy muszą chwilową rozrywkę palenia cygara lub fajki przypłacić smutnemi i gorzkimi następstwami. „Hiszpan“ — mówi autor — „nie pokaże się nigdzie bez cygara. W wielkiej wojnie z Napoleonem trawili oficerowie hiszpańscy wszystek wolny czas na uwijaniu cygarów, które stały się dla nich drugim chlebem powszednim. To też nie możnaby sobie wyobrazić ludzi gnuśniejszych i nieudolniejszych. W takim stanie moralnego upadku wprowadził już tytoni Portugalczyków, a wprowadzi niezadługo i inne narody, jeśli nie opamiętają się zczasu.“

Ciekawość ukarana. W pewnym londyńskim gabinecie osobliwości przechowują gilotynę, pod którą padły głowy najcenniejszych Żyrodystów. Jestto jeden z najciekawszych zabytków gabinetu, najwięcej też zajmuje widzów. Każdy pragnie zbadać dokładnie cały przyrząd tego okropnego instrumentu, a szczególnie obznajomić się z sposobem tracenia. Niedawno jednak posunął pewien młokos ciekawość swoją nieco za daleko. Uroilo mu się dziwnym sposobem, że belek który w żłobie gilotyny aż do chwili ścięcia przytrzymuje tułów delinkwenta, nie mógłby się oprzeć silnemu naciskowi zpod spodu. Aby swoje dziecinne przypuszczenie zaraz niezbitym stwierdzić dowodem skrył się w zakątku gabinetu, postanawiając podjąć się próby własnemi barkami. Zaledwie też wszyscy obecni oddalili się z gabinetu, wylazł z ukrycia, i ułożywszy się wygodnie w żłób gilotyny, spuścił belek na siebie. Potem jednym gwałtownym rzutem ciała probuje uwolnić się od nacisku. Lecz dreszcz śmiertelny przejął go od stóp do głowy. Zawieszony nad głową topór zabrzączał okropnie nad uszyna, grożąc spuścić się bez pomocy kata. Na wpół nieżywy z przestachu, nie śmiał nieborak pomyśleć o nowej próbie, owszem zapierając oddech w sobie, lękał się nawet zawołać głośniej o pomoc. Po pół godzinie tak okropnego położenia, wszedło dwóch gości do gabinetu. Biedak odetchnął wolniej, mniemając że już doczekał się chwili wybawienia. Na nieszczęście obadwaj przybysze byli cudzoziemcami, którzy nie pojmując jego przytłumionych szepców, poczytali go za posługacza gabinetu, przywiązane umyślnie do gilotyny, aby temwyraźniej uzmysłowił gościom sposób tracenia. Długo też przyglądali się z ciekawością strasznemu instrumentowi, unosząc się pochwałami nad wyborem udawaniem śmiertelnej twrogi przez biednego posługacza. Dopiero gdy po jakimś czasie zjawił się sam dozorca gabinetu, wyjaśniła się rzecz cała ku wesołości świadków a bardzo naturalnemu zawstyżeniu ciekawego młokosa.